

REPORTAŻ – IN VITRO

Agata Misiurewicz-Gabi

Chciałam zostać mama



Nikt, kto sam nie doświadczył niepłodności albo nie miał takiego przypadku w najbliższej rodzinie czy wśród przyjaciół, nie wie, co przeżywają pary starające się latami o dziecko. Ogromny stres, wyczekiwanie, polowanie na dni płodne. Potem niekończące się wizyty u lekarzy, mnóstwo badań, zabiegów i pojawiające się zewsząd pytania: kiedy w końcu zostaniecie rodzicami? Oczekiwanie na dziecko, które mimo starań się nie pojawia, staje się walką. Z problemem tym musi się zmierzyć coraz więcej par.

Starania o dziecko nie zawsze kończą się sukcesem. Mimo ciągłego rozwoju metod leczenia medycyna czasem pozostaje bezradna. Wiele par nie potrafi sobie z tym problemem poradzić. Nierzadko dochodzi do rozstań, depresji, niskiej samooceny, cierpi na tym życie rodzinne i zawodowe. Tymczasem niektórzy nie rozumieją cierpienia bezdzietnych par albo nie chcą zrozumieć. Są wśród nich osoby, które mają gromadkę własnych pociech, a mimo to w sposób okrutny i pozbawiony empatii wypowiadają się o *in vitro* – zabiegu ostatecznej szansy. Nazywają urodzone dzięki niemu dzieci „mrozakami”, mówią, że są gorsze. Wygłaszając swoje stanowcze i pozbawione argumentów medycznych osądy, sieją wokół wątpliwości i zamęt. Choć przyzwolenie społeczne na zapłodnienie pozaustrojowe jest wysokie, także liczni politycy wspierani przez kręgi kościelne, a wraz z nimi inne osoby, które często nie wiedzą, na czym ta metoda polega, starają się zniechęcić do procedury *in vitro*. A może nawet, gdyby mogli – jej zabronić.

Zawsze jest nadzieja

Opowieści piękne i wzruszające, a zarazem całkiem normalne, codzienne. Historie, w których pojawia się smutek, cierpienie, ale też miłość i radość. Wiele kobiet ma podobne przeżycia. Starania o dziecko, niekończące się badania, operacje, poronienia,

załamania psychiczne i nadzieje. Nie każda chce o tym mówić, dzielić się wspomnieniami, wracać do przeszłości, do trudnych chwil. Zwłaszcza jeśli wszystkie próby i starania skończyły się niepowodzeniem, a zewsząd pojawia się ostracyzm i brak zrozumienia. Każda z nich ten trudny okres przeżywała inaczej. Niektóre mimo upływu lat nadal milczą. Chowają swój sekret głęboko w sercu i nie dzielą się nim nawet z najbliższymi. Cztery kobiety: Paulina, Julia, Magda i Joanna, opowiedziały o swoich doświadczeniach – o tym, jak im się udało i doczekały się wspaniałych dzieci. Żadne ideologie i spekulacje etyczne nie stanęły na drodze do ich szczęścia. Nie odebrały im być może jedynej szansy na to, by cieszyć się upragnionym i wyczekiwanym macierzyństwem.

Paulina, 34 lata, instruktorka fitness, mama 4,5-letniego Leosia

Jeszcze przed ślubem starała się z mężem o dziecko. Nie stosowali antykoncepcji, wychodząc z założenia: „co ma być, to będzie”. Minęły 2 lata, potem po ślubie 2 kolejne, a ciąża się nie pojawiała. Zaczęli się martwić i szukać fachowej pomocy. Trafili do bardzo dobrego specjalisty, ale nawet po serii badań nie udało się ustalić przyczyny ich niepłodności. W takim przypadku, kiedy mimo prawidłowych wyników badań nie zachodzi się w ciążę, mówi się o niepłod-

”

Paulina: *Uważam, że odebranie finansowania czy jego znaczne ograniczenie dotknie przede wszystkim kobiety gorzej sytuowanej. Bogate sobie poradzą, jeśli będą trudności z przeprowadzeniem zabiegu, wyjadą za granicę*

ności idiopatycznej. Paulina zbliżała się do trzydziestki, była jeszcze młoda, ale nie na tyle, żeby się nie martwić. Bezcenny dla kobiety czas ucieka przecież bardzo szybko, a wraz z nim szanse na posiadanie dziecka. Najpierw poddała się zabiegom inseminacji – 4 próby i 2 ciążę. Obie zakończone poronieniem. W końcu trafiła do wspaniałego lekarza, prof. Leszka Pawelczyka, który nie miał wątpliwości, że pomoc może tylko *in vitro*. Para przeszła pomyślnie kwalifikacje i mogła skorzystać z refundacji. Paulinie wprowadzono do macicy jeden zarodek. Pozostałe 3 zostały zamrożone. Udało się za pierwszym razem. Z pozostałych zarodków zamierza jeszcze kiedyś skorzystać. Może za kilka lat, bo teraz jest zajęta także wychowaniem drugiego dziecka, które pojawiło się już bez żadnej metody wspomagającej. Tak się czasem zdarza.

– *Planowaliśmy po pierwszym dziecku poddać się kolejnemu zabiegowi *in vitro*, chciałam się już umawiać na wizytę i transfer zarodka, a tu niespodzianka. Zaszłam naturalnie w ciążę, ale ponieważ miałam już za sobą poronienia, musiałam być stymulowana lekami – wspomina Paulina. – Mąż przez cały czas był dla mnie ogromnym wsparciem. Bardzo przeżywałam straty kolejnych ciąż, a on zawsze był przy mnie. Podziwiam go za to, że stanął na wysokości zadania. Choć nie było nam łatwo, przetrwaliśmy to wszystko, nawet z uśmiechem – dodaje.*

Jak przyjęli najbliżsi ich decyzję o poddaniu się zabiegowi? – *Nasza rodzina bardzo nas wspierała, mimo że jest katolicka. Ciąża pojawiła się w trudnym czasie, kiedy o *in vitro* zrobiło się głośno w mediach i w kościele. Mówiono, że dzieci z *in vitro* rodzą się z bruzdą na czole. Było mi bardzo przykro i obraziłam się na Kościół. Dopiero po długim czasie trafiłam na księdza, który mnie nie potępił, ale zrozumiał.*

Co by powiedziała ludziom, którzy tak krzywdząco wypowiadają się o dzieciach poczętych dzięki *in vitro*? – *To są ludzie, którzy nie mieli takiego problemu i nie przechodzili przez to, przez co my musieliśmy przejść. Inaczej nie wyrażaliby się o *in vitro* w tak okrutny i deprymujący sposób. Uważam, że odebranie finansowania czy jego znaczne ograniczenie dotknie przede*

wszystkim kobiety gorzej sytuowane. Bogate sobie poradzą, jeśli będą trudności z przeprowadzeniem zabiegu, wyjadą za granicę.

Joanna, 53 lata, tłumaczka, mama 19-letniego Michała

Joannę trudno nakłonić do rozmowy. Niechętnie wraca wspomnieniami do tamtych lat, stara się je wymazać z pamięci. Mówi, że przeżyła zbyt wiele, za bardzo cierpiała. Nie potrafiła zrozumieć, dlaczego właśnie ona, jedyna w rodzinie nie mogła zająć w ciąży. Jej dwie siostry miały już dzieci, rodzice wnuki, a ona ciągle czekała. Mijały lata. Kolejne miesiączki, rozczarowania. Lekarze zdiagnozowali u niej niedrożne jajowody, co praktycznie wykluczało zajście w ciążę w sposób naturalny. Poddała się więc operacji, potem dwóm inseminacjom. Bez powodzenia. Zaproponowano jej zapłodnienie pozaustrojowe. Dwadzieścia lat temu, kiedy wiele ośrodków w Polsce jeszcze się tej metody uczyło, postanowiła przeprowadzić zabieg w Białymstoku, u cudownego lekarza prof. Mariana Szamatowicza. Tam gdzie zostało poczęte pierwsze w Polsce dziecko z *in vitro*. Nie było wówczas żadnej refundacji, a koszty leczenia pochłonęły cały domowy budżet.

– Udało się dopiero za czwartym razem. Przedtem jedna ciąża skończyła się poronieniem. Byłam załamana, ale pewnie gdyby i tym razem się nie powiodło, próbowałabym do skutku. Jeśli oczywiście wytrzymałoby to moje małżeństwo, bo po tych wszystkich latach starań i nieudanych próbach było nam bardzo ciężko, rodziło się między nami napięcie, jakiś taki dziwny smutek. Zwłaszcza kiedy gdzieś w pobliżu pojawiały się małe dzieci. Nie mam pretensji do męża. Praktycznie nigdy się nie skarżył, nie narzekał, ale na pewno cała ta sytuacja była dla niego bardzo stresująca i wyczerpująca. Na tyle, że teraz w ogóle o tamtych wydarzeniach nie rozmawiamy – wspomina.

Dziś Michał, przystojny chłopak i student architektury, ma już prawie 19 lat. Nie wie, że został poczęty dzięki metodzie *in vitro* i że jego rodzice bardzo długo walczyli, żeby pojawił się na świecie. Nie wiedzą o tym także przyjaciele i rodzina.

– Oboje z mężem pochodzimy z bardzo katolickich rodzin. Oni by tego nie zrozumieli, może by nas potępili. Dlatego postanowiliśmy zachować tajemnicę. Nie powiedzieliśmy o tym również naszemu synowi. Najpierw był na to za mały, potem było za późno. Cały czas bałam się, że może to w jakiś sposób go zrani. W końcu na temat dzieci z *in vitro* słyszy się straszne historie. Że są gorsze, że żyją kosztem rodzeństwa, że je zamordowały. Być może nie postępuję właściwie, ale przeszłam już zbyt wiele, żeby narażać się na dodatkowy stres i nieprzyjemności. Dla mnie to, że się udało, to był dar od Boga. Już przedtem sobie obiecałam, że jeśli się powiedzie, nie będę więcej próbować. To szczęście powinno mi wystarczyć i jestem za nie bardzo wdzięczna lekarzom i losowi – mówi Joanna.

Julia, 33 lata, właścicielka salonu urody, mama 4-letniej Marii

Julia starała się z mężem o dziecko przez 4 lata. Bardzo przeżywała to, że nie może zająć w ciążę. Przyznaje, że cierpiało na tym jej małżeństwo. Praktycznie nie miała żadnych szans na naturalne zapłodnienie. Lekarze zdiagnozowali u niej zespół policystycznych jajników, endometriozę i insulinooporność. Poddała się czterem inseminacjom i dwóm operacjom. Po drugiej lekarz powiedział jej, że ma rok na zajście w ciążę. Dlatego musiała działać jak najszybciej. Choć kwalifikowała się do programu refundacyjnego *in vitro*, nie miała czasu, żeby czekać. Zapisła się na zabieg w klinice Invimed i pokryła jego koszty z własnej kieszeni, a właściwie pomogli jej rodzice. Powiodło się za pierwszym razem.

– Byłam cały czas na hormonach, kuto mnie w brzuch, w uda, byłam cała posiniąta i zestresowana. Po samym transferze musiałam odpoczywać i jak najmniej się ruszać. Lekarz powiedział mi, że mam przez 10 dni „wysiadawać jajko”. Jedenastego czy dwunastego dnia po zapłodnieniu miałam zrobić pierwsze badanie beta-HCG (stężenia ludzkiej gonadotropiny kosmówkowej), stosowane w celu potwierdzenia i oceny rozwoju ciąży, a następnie powtarzać je przez tydzień co drugi dzień. Kiedy stężenie HCG

”

Julia: Zamierzam swojej córeczce kiedyś powiedzieć, w jaki sposób pojawiła się na świecie. Powinna wiedzieć, że *in vitro* to cud, bo pozwala zostać rodzicami ludziom, którzy tego naprawdę bardzo pragną

w surowicy przekroczyło pewien poziom, lekarze mówili, że prawdopodobnie jest to ciąża, ale może to być również ciąża biochemiczna. Byłam przygotowana na wszystko. I na tyle zdesperowana, że gdyby się wtedy nie udało, próbowałabym przynajmniej 3 razy albo nawet do skutku – wyznaje.

Ciągle czekają na nią kolejne zamrożone zarodki, z których zamierza jeszcze skorzystać. Gdy zdecyduje się na zabieg, nie będzie musiała ponownie przechodzić całej procedury związanej ze stymulacją hormonalną, a i wydatek będzie o połowę mniejszy. Nie może zrozumieć, dlaczego *in vitro* ciągle budzi tyle kontrowersji.

– Dla mnie pozbawianie ludzi szansy na posiadanie dziecka i narzucanie kolejnych zakazów i ograniczeń jest chore. Trudno sobie wyobrazić, aby w dzisiejszych czasach tak się działo, obserwując, jak wiele par ma problemy z posiadaniem potomstwa. Zamierzam swojej córeczce kiedyś powiedzieć o tym, w jaki sposób pojawiła się na świecie. Powinna wiedzieć, że *in vitro* to cud, bo pozwala zostać rodzicami ludziom, którzy tego naprawdę bardzo pragną – mówi.

Magda, 42 lata, trener HR, mama 5-letniego Tomaszka

Dość późno wyszła za mąż i późno zdecydowała się na dziecko. Chciała je mieć z właściwym mężczyzną i długo na takiego czekała. Miała już 35 lat, kiedy wykonała badanie AMH (określenie wskaźnika rezerwy jajnikowej), na podstawie którego stwierdzono, że prawie nie ma komórek jajowych. Było ich tak mało, że nie kwalifikowała się do programu refundacyjnego poprzedniego rządu. Dziś ma żal do leka-

rza, który ją badał, że na wstępie nie chciał dać jej żadnych szans. Choć szanse na posiadanie dziecka były. Niewielkie, bo tylko 5 proc., ale jednak.

Postanowili z mężem, że spróbują *in vitro*, zresztą inne metody by nie pomogły. Nie więcej jednak niż dwa razy, bo choć pragnęli własnego dziecka, gdyby się nie udało, zdecydowaliby się na adopcję. Udało się im za drugim podejściem.

– Nie jestem katoliczką. Wiem, że katolicy często mają dylematy w związku z metodą *in vitro*. Tak jak wiele moich koleżanek, które są katoliczkami. Ja ich nie miałam. Nie miałam też żadnych wyrzutów sumienia z powodu zabijania jakichś komórek, bo tych komórek nie było. Nie wiem, co czują osoby, które miały ich powiedzmy 15 i tylko jedna przeżyła – komentuje.

Magda stara się racjonalnie podchodzić do życia. Dla niej *in vitro* to nic innego jak medycyna, która daje niepełnym parom szansę na posiadanie dziecka. Dlatego nie ukrywa przed znajomymi, że poddała się zabiegowi, choć zdaje sobie sprawę, że opinie na ten temat są w Polsce skrajnie podzielone.

”

Magda: Myślę, że niewiedza w społeczeństwie jest gigantyczna. Wielu moich znajomych, nawet z doktoratami, nie ma pojęcia, na czym tak naprawdę *in vitro* polega. To czego nam potrzeba, to edukacja

– Niektórych osób nigdy bym nie podejrzewała o to, że potrafią myśleć w sposób tak zaściankowy. Na szczęście oprócz moich dwóch koleżanek, które rzeczywiście przestały się do mnie odzywać, kiedy usłyszały, że mam dziecko z *in vitro* – notabene wykształcone i wydawałoby się światłe osoby, żyjące w dużym mieście i żeby było śmieszniej, same niemogące zająć w ciążę – nikt nie miał tyle beczelności, żeby mi coś negatywnego na ten temat powiedzieć – opowiada. – Myślę, że niewiedza w społeczeństwie jest gigantyczna. Wielu moich znajomych, nawet z doktoratami, nie ma pojęcia, na czym tak naprawdę *in vitro* polega. To czego nam potrzeba, to edukacja. Dlatego każda młoda dziewczyna powinna mieć obowiązkowe badanie AMH, aby znała swoją rezerwę komórek jajowych. Dzięki temu będzie wiedziała, ile ma czasu na zajście w ciążę, żeby potem nie było za późno. Dla mnie wszelkie dyskusje wokół metody *in vitro* zawsze są elementem gry politycznej, którą dane ugrupowania wykorzystują albo z niej rezygnują. Nie wierzę, by zapłodnienie pozaustrojowe było kiedykolwiek u nas zabronione. Martwi mnie jednak, że może dojść do sytuacji, w której przez różne obostrzenia przepisów i ograniczenia finansowania tylko ludzie zamożni będą mogli sobie na nie pozwolić – dodaje.

”

Joanna: Po tych wszystkich latach starań i nieudanych próbach było nam bardzo ciężko, rodziło się między nami napięcie, jakiś taki dziwny smutek. Zwłaszcza kiedy gdzieś w pobliżu pojawiały się małe dzieci. Teraz w ogóle o tamtych wydarzeniach nie rozmawiamy

